

KRAKOWSKIE GADANIE

WOJCIECH MAJCHEREK

Nie wiem, jak wam opowiedzieć o tym, co się wydarzyło w Krakowie na przełomie maja i czerwca. Odbývającej się w tym czasie sesji Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy Europejskiej poświęconej dziedzictwu kulturalnemu towarzyszyła cała masa imprez artystycznych. Wśród nich teatr robił sporo hałasu. Mój kłopot polega jednak na tym, że trudno było w bogactwie teatralnych propozycji zaprowadzić jakiś porządek. Część zdarzeń można potraktować jako przegląd tego, co w teatrze mamy najlepszego. Bo jeśli zagraniczni goście mogli obejrzeć np. ostatni spektakl Tadeusza Kantora i najnowszą premierę Starego Teatru, jeżeli mogli przekonać się, jak smakuje teatr Krystiana Lupy i co się kryje pod nazwą Gardzienice, to z pewnością uzyskali w Krakowie wizytówkę polskiego teatru. Wizytówka jak wizytówka, z niej samej wiele się nie dowiedzie, ale przynajmniej daje namiary na osobnika, wskazuje adres, trop, którym można pójść dalej. My jednak znamy swój teatr jak zły szeląg. Szkoda natomiast, że pod Wawelem nie doszło do porachunku naszego teatru z tym, co dzieje się na scenach starej Europy. Ciekawości nie mogły przecież zaspokoić międzynarodowe warsztaty szkół teatralnych czy występ wileńskiego teatru Jonasa Vaitkusa. No, ale jak się nie ma, co się lubi...

Powiadam więc, że teatru w Krakowie było dużo i to różnego. Tradycyjnego i awangardowego. Ciekawego i nudnego. Takiego, gdzie ludzie walili, i takiego, gdzie ledwo mogli wysiedzieć. W sumie może dobrze, że w prezentacjach przyjęto niezobowiązującą formułę. Co wybrałeś, zależało od twego kaprysu. Codziennie przy śniadaniu w restauracji hotelu Pollera z uwagą śledziłem w gazetach zapowiedzi teatralnych imprez. Ostatecznie brałem prawie wszystko jak leci. Ale stąd też teraz w moich wspomnieniach panuje lekki bałagan. Zwłaszcza że, jak to zwykle bywa, część zdarzeń zapadła mocno w pamięć, inne z niej kompletnie wyleciały. Musiałbym się nieźle wysilić, gdyby np. kazano mi opowiedzieć o premierze (a właściwie prapremierze, bo dramat w Polsce nieznanym) sztuki Ghelderode'a pt. *Stońce zachodzi* w Teatrze Groteska. Rzecz pomyślana ambitnie jako próba połączenia na scenie planu żywego i

lalek. W istocie stała się monodramem Piotra Skiby, który usiłował nadać granej postaci Karola V rangę szekspirowską. Ale jak to mówią komentatorzy sportowi – zamysł słuszny, gorzej z wykonaniem. Mam nadzieję, że o innych wydarzeniach opowiem nieco dokładniej. International Theatre Training – taką efektowną nazwę przybrały warsztaty teatralne, których organizatorem była krakowska PWST. Uczestniczyli w nich studenci szkół teatralnych z Goeteborga, Sydney, Bratysławy i chyba Nowego Jorku (mówię chyba, bo przed ich występem musiałem wyjechać). Takie spotkania międzynarodowego towarzystwa dają rozliczne korzyści, nawet jeśli nic konkretnego z nich nie wynika. Okazuje się bowiem, że wszędzie na świecie, na dalekiej północy i na antypodach, adepci sztuki teatru są w gruncie rzeczy podobni. Piękni, młodzi, utalentowani, napaleni na teatr. Ich pedagodzy mają głowy nabite ideami. Na scenie co prawda dają to różne efekty. Wszystkie studenckie spektakle łączyło lekkie dziwactwo, mocna ekspresja, sporo humoru i seksu. Nie powodowany wcale narodową dumą, muszę jednak stwierdzić, że w konkurencji z obcymi najlepiej wypadła Szkoła krakowska. W przedstawieniu dyplowym pt. *Non stop show* w reżyserii Jerzego Jarockiego błysnął czysty talent aktorski Szymona Kuśmidra. Nazwisko warte zapamiętania. Młodszy studenci pod kierunkiem Marty Stebnickiej pokazali ładny i wysmakowany spektakl muzyczny wg *Pieśni o Rolandzie*. I wreszcie clou... W sali eksperymentalnej na najwyższym piętrze gmachu PWST przy Warszawskiej niewielka grupa osób mogła zobaczyć teatr, jakiego „na tym świecie jeszcze nie było”. Specjalnie z okazji sesji KBWE wznowiono zeszłoroczny spektakl dyplomowy – *Szkice z „Człowieka bez właściwości”* w reżyserii Krystiana Lupy. Pokazano tylko pierwszą część, *W stronę Klarysy*. Nie mam zamiaru mądrzyć się na temat tego przedstawienia. Wiele już o nim napisano i powiedziano. Jedną rzecz tylko chciałbym podkreślić. Nie wiem, jak to Lupa zrobił, że młodzi, początkujący aktorzy grali „jak starzy”. Zdawałoby się, że bez wielkiego trudu unieśli ciężar postaci Musila i teatru Lupy. Iwone Budner, Annie Radwan, Krzysztofowi Głuchowskiemu, Jackowi Poniedziałkowi i ich kolegom należą się wielkie dzięki. Tego wieczoru miałem wrażenie niebywalej intensywności przeżycia teatralnego. Dołożył się do tego nawet prawdziwy deszcz za oknem. Nie uwierzcie, ale musiałem dwa razy dookoła obejść krakowski Rynek, by ochłoniąć z emocji.

Sporo wrażeń dostarczyła również noc na Kazimierzu. Było to bodaj w sobotę 1 czerwca – zaczynały się Żydowskie Dni Kazimierza. O ósmej wieczorem w zrujnowanej kamienicy na Szerokiej zespolone siły warszawskiej Pracowni Teatr i krakowskiej Mandali przedstawiły coś, co nazwano *Projekt Schulz*. Pokazywano go już rok temu, ale sprawa przeszła chyba bez większego echa. Trochę szkoda, bo jest godna uwagi. Młodym ludziom udało się ten stary dom zaczarować na 24 godziny, a wykorzystali do tego magię prozy Brunona Schulza. Powstał wizerunek rzeczywistości zdegradowanej niejako podwójnie: w wizji Schulza i naszej pamięci, z której wyparował świat Żydów z Kazimierza. Kto zajął w ciągu tej jednej doby do domu przy Szerokiej, nie mógł chyba wyjść z niego nieporuszony. A przecież właściwie nic się tam nie działo. Kobieta chodziła i grała na skrzypcach. Chłopak w czarnym garniturze i meloniku wyglądał przez okno. W innym pokoju dziewczyna obszywała płótno na singerowskiej maszynie. Gdzieś indziej ktoś zapisywał kartki rękami liczb. Na podwórku dwaj mężczyźni grali w serse. W kuchni kobieta szorowała posadzkę. W małej kanciapie ktoś pisał na maszynie. Obok na wyrku ktoś zachrapał. Nawet pies pięknie wtopił się w smutek tego miejsca. Skądś, nie wiadomo skąd, słychać było bębnienie na pianinie. Dochodził zapach gotowanej kury i wilgoci. Wszystko bez słów. Tylko przy wejściu i na schodach domownicy czytali kawałki z Schulza. A

Scena z inscenizacji *Projekt Schulz* przygotowanej przez Pracownię Teatr z Warszawy i T. Mandala z Krakowa



ludzie chodzili z pokoju do pokoju, uważali, by nie pobrudzić się tynkiem z odrapanych ścian, gapili się tu i tam, coś między sobą pogadywali, dobierali się do żarcia w kuchni, dzieciaki cichy nie wiedząc, co tu jest grane. Wychodzili i wracali. Sam w ciągu tych 24 godzin parę razy wpadałem „na Projekt”. Byłem na początku, potem w nocy, gdy już niewiele osób się kręciło i atmosfera miejsca nabrała jeszcze większej niesamowitości. Nazajutrz zaszedłem w porze obiadowej. A kiedy wreszcie musiałem się stamtąd zabrać, to ze zdumieniem zauważyłem, że na najwyższym piętrze tej rudery mieszkają jednak ludzie. Widać firanki w oknie, jakiś mężczyzna wyglądał na ulicę.

Ale to nie był jeszcze koniec atrakcji tej nocy. Musiałem dokonać pewnego wyboru, bowiem w sali Sokoła w alei Piłsudskiego występowały Gardzienice. Mogłem również nie ruszać się z Szerokiej i obejrzeć Teatr Wiejski – Węgajty. Jak myślicie, na co się zdecydowałem? Na Węgajty, nie tylko z wygody, ale także dlatego, że popieram starszych. A wiadomo, że łatwiej trafić pod Lublin niż pod Olsztyn. Węgajty są oczywiście w cieniu sławnych Gardzienic. Generalnie wywodzą się z tego samego ducha. Tak samo sięgają tam, gdzie wzrok nie sięga. Być może to właśnie Węgajty najżywiej odpowiadały na hasło sesji KBWE. Ich prosty i skromny teatr przypomina o zapomnianym dziedzictwie kultury pogranicza i o pogrzebanych tradycjach. Węgajty gawędząc i muzykując pięknie zagrały na jakichś tajemnych strunach naszej wrażliwości i nieświadomych tęsknot. Z pewnością usłyszeliście w sobie te dźwięki, gdybyście zobaczyli taniec dziewczyny z wielką trombitą albo posłuchali opowieści o Żydzie Pinkasie. Węgajty mają już swoich wiernych kibiców. Jest ich wcale niemało, ledwośmy się pomieścili w sali bożnicy Poppera. A po spektaklu *Historii Vincenza* razem z artystami Węgajt wyszliśmy na Szeroką. Oni grali żydowskie melodie. Niedługo trzeba było czekać, by ludzie wpadli w trans, zaczęli tańczyć. A później stworzył

się wielki korowód i była to dobra, wspólna zabawa Polaków i Żydów, którzy zjawili się tu z różnych stron świata.

Finalem Żydowskich Dni Kazimierza miał być koncert amerykańskich klezmerów. Byłem bardzo go ciekaw, ale o tej samej porze w Teatrze Bagatela Jonas Vaitkus pokazywał *Ghetto*. Rad nierzad wybrałem się na przedstawienie. Sztuka Sobola nie odbiegała od skomplikowanej problematyki żydowskiej. Choć Vaitkus dość swobodnie potraktował dramatyczną historię wileńskiego getta. Przekładając tekst Sobola na swoje teatralne wizje, kompletnie odrealnił rzeczywistość sztuki. Gestapowiec u Vaitkusa był piskliwym pedałem skrępowanym przezroczystą ceratą i z upiętymi przedziwnie włosami. Na scenie Vaitkus wytworzył jakąś niebywale gęstą materię teatralną, bardzo dla niego charakterystyczną. Choć jeśli ktoś widział *Dziady* w jego inscenizacji (pokazywane także w Krakowie), mógł się przekonać, że Vaitkus wciąż pisze na tę samą nutę. I teraz rozsądźcie: styl to czy maniera? Ta garstka widzów, która dotrwała do końca przedstawienia, nagrodziła wileńskich aktorów stojącymi brawami. Nie wiem tylko, czy przypadkiem nie był to wyraz uprzejmości dla gości i bądź co bądź pobratymców.

Nie opowiedziałem jeszcze o wszystkim. W Krakowie chodziłem własnymi ścieżkami. Nie pchałem się tam, gdzie był największy szum. Dlatego też z mieszanymi uczuciami przyjąłem dwa najbardziej nagłośnione wydarzenia teatralne towarzyszące sesji KBWE: ostatni spektakl Tadeusza Kantora pt. *Dziś są moje urodziny* i *Wesele* w reżyserii Andrzeja Wajdy. Ze swoich wrażeń pewnie długo bym się musiał spowiadać, bo w gruncie rzeczy zgrzeszyłem bluźnierstwem przeciw mistrzom. Darujcie tę winę wystannikowi.

Pewnie oczekujecie, że na koniec wystawię jakiś rachunek. Myślę jednak, że nie potrzeba żadnego podsumowania. Wysoki prestiż imprezy nie odebrał jej nastroju święta kultury. A jest przecież powiedziane: dzień święty świętuj.

Dziś są moje urodziny Tadeusza Kantora w T. Cricot 2 w Krakowie (1990). Scena zbiorowa. Reż., scen. Tadeusz Kantor

